ROK III WRZESIEŃ 1931 NR. 9

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

W petersburskim instytucie dla szlachetnie urodzonych panien przed 60 laty*)

Nauka muzyki była otoczona największą pieczołowitością pod kierunkiem groźnego Niemca Henselta, który kontrolował nauczycielki i uczennice, sprawdzał postępy, rozkazując na wyrywki grać przy sobie, wreszcie pracując usilnie nad najbardziej uzdolnionemi.

Nieraz ta i owa dostała „po łapach“ uderzenie jego twardych i ciężkich palców, lub usłyszała grubjańskie „Dreck“. Miałam w niższych klasach bardzo niesympatyczną nauczycielkę, która traktowała mię niechętnie i zmuszała do bezmyślnych nudnych i najniepotrzebniejszych ćwiczeń, zamierzając naprawić niestosowny według niej układ mych palców na klawjaturze. Grając dla siebie w wolnych chwilach, zrobiłam znaczne postępy i zamaszyście grałam polki i mazury dla koleżanek, które tańczyły wówczas. Zresztą już przed przybyciem do Petersburga nauczyłam się od Matki licznych utworów fortepianowych i grałam biegle.

Szczęśliwy traf zrządził, że przeszłam do innej nauczycielki, garbuski o nadzwyczaj dobrym i szlachetnym charakterze. Ona tak mię polubiła, że na święta zabierała do swego domu i opiekowała się mną jak córką, starając się uprzyjemnić mi pobyt u siebie, jak mogła. Nazywała się Sieben, była wdową. System jej był całkiem inny, bardzo racjonalny; postępy czyniłam tak znaczne, że po niespełna 2 latach, mając 14 lat, wystąpiłam w koncercie w liczbie 4 uczennic, grających na 2 fortepianach Webera „Zaproszenie do tańca“. Uroczysty ten koncert odbył się w naszej auli w dniu imienin przełożonej w obecności wszystkich uczennic i znacznej ilości gości. W starszych klasach grałam pod kierunkiem samego Henselta, który uważał mię za najlepszą uczennicę obok jeszcze jednej koleżanki, która posiadała lepsze zdolności, lecz nie umiała czy nie chciała wycyzelować szczegółów utworu tak starannie jak ja.

Zakład nasz mieścił się w olbrzymim gmachu o setkach pokoi i dziesiątkach większych sal. Nic dziwnego, że w r. 1917 Lenin upatrzył go sobie na główną siedzibę swego rządu i stąd dokonywał rozbestwiania żołnierzy i robotników petersburskich i podboju Rosji.

*) Patrz N. 8.

Na czele zakładu stała majestatyczna przełożona baronowa Frederyksowa, nadzwyczajnej piękności 60-letnia kobieta, dama dworu carskiego, o czem świadczył przypinany na ramieniu w dnie uroczyste szyfr brylantowy (monogram cara A. II). Mieszkała ona dłuższy czas w Warszawie i znała Polskę. Gdym leżała w szpitalu i nadszedł list od mej Matki, przełożona przyszła do mnie, usiadła przy mnie i odczytała mi go, ponieważ z powodu bólu oczu sama czytać nie mogłam. Żadnego przedmiotu ona nie wykładała, lecz wizytowała klasy podczas lekcyj. Rozmawiała z nami tylko po francusku. Była dobra i szlachetna i bardzo przez nas kochana. Lubiła mię bardzo i często mię zabierała razem ze swą wnuczką do loży w teatrze. Teatry carskie były wspaniałe. Widziałam bajeczne wystawy, słyszałam znakomitych śpiewaków. Największe wrażenie pozostawiły opera „Rusałka", „Jezioro łabędzie" i inne, w których występowało po 100 osób. Od czasu do czasu książę Oldenburski, patron Instytutu, zakupywał bilety do teatru lub na koncert i przysyłał je uczennicom klas pedagogicznych, wówczas gremjalnie udawałyśmy się do lóż. W parterze nigdy nie siadałyśmy. W dniu imienin przełożonej po nabożeństwie czekałyśmy na nią w sali rekreacyjnej i składałyśmy po francusku gratulacje z niziutkiem przysiadaniem. Dziękowała nam majestatycznie. Tego dnia częstowano nas jej kosztem w naszych salach jadalnych kubkiem czekolady i wybornemi sucharkami. Pomocnica jej, zwana Inspektorką, zarządzała olbrzymim działem ekwipunku. Miała pod swą szczególną pieczą szafy z obuwiem. Ponieważ każda z nas miała trzy pary obuwia: codzienne, do tańców i świąteczne, przeto tworzyły się tego olbrzymie ilości. Całe ubranie i bieliznę otrzymywałyśmy od zakładu. Były w nim dwie obszerne pracownie; w jednej szyto i naprawiano obuwie, w drugiej bieliznę. Dostawałyśmy tygodniowo dwa komplety bielizny. Trudniło się tem stale kilkadziesiąt krawczyń i szwaczek. One też naprawiały wszelkie, nawet najmniejsze uszkodzenia naszej garderoby, którą im odnosiłyśmy. Same nie zajmowałyśmy się tem, częściowo z powodu braku czasu. Miałyśmy w ciągu 5 lat po dwie godziny tygodniowo robótek ręcznych, zresztą z małym skutkiem prowadzonych. Nauczycielka tych robótek, mieszkająca w zakładzie, starsza Niemka, uczyła nas trochę haftów i wyszywania oraz koronkarstwa, czasami jednak bawiłyśmy się na tych lekcjach jej ulubionym pieskiem, który miał wstęp na te wykłady i ćwiczenia i traktował nas z całą psią ufnością i sympatją. Robótki odbywały się w saloniku obok jej mieszkania.

Oprócz przełożonej i inspektorki miałyśmy inspektora Ladowa, który był właściwym kierownikiem pedagogicznym zakładu. Wykładał on nam pedagogikę i dydaktykę. Z powodu braku podręcznika musiałyśmy dużo notować i układać w domu z tych notatek porządne opracowania. Zwłaszcza obszernie traktował Amosa Komeńskiego i metodę poglądową. Przez lat kilkanaście po ukończeniu zakładu przechowywałam obszerny swój zeszyt z zapiskami i streszczeniami wykładów Ladowa.

Oprócz tych władz każda klasa miała dwie wychowawczynie, które pomagały słabym przy przygotowaniu lekcyj, kierowały naszem wychowaniem, wyrabiały w nas dobre maniery i doskonaliły nas w konwersacji francuskiej i niemieckiej. Jedna z tych dam rozmawiała z nami stale po francusku, druga po niemiecku. Dyżurowały kolejno, co drugi dzień, wysiadując na lekcjach wszystkich profesorów. Od pierwszych dni naszego pobytu w szkole uzupełniały one lekcje języków nowożytnych; zadawały nam w klasie najniższej po 3 słówka dziennie, w klasach następnych po kilka zdań i t. d. Nauczanie języków w klasie oparte było na konwersacji z przewagą jednak gramatyki. Lektura w tych językach była dość obfita, książek w bibljotece poddostatkiem. Miałyśmy nawet „Revue de deux mondes" i „Ueber Land und Meer". Wymagania były olbrzymie, pisałyśmy obszerne wypracowania w językach obcych i opanowywałyśmy je w szczegółach najdrobniejszych.

Całkiem inaczej rzecz się miała z naukami przyrodniczemi. Zresztą nie było to skutkiem wady programu, lecz z powodu choroby nauczyciela, że botaniki i mineralogji nie tknęłyśmy wcale. Natomiast dość dobrze przerobiłyśmy anatomję i fizjologję; używano już wówczas doskonałych modeli (np. ucha i oka) z masy papierowej. Udzielono nam też należytych pojęć o higjenie, zwłaszcza niemowlęcia. Zawdzięczamy to Ladowowi, który tak racjonalnie traktował pedagogikę.

Nauczyciel historji Borzakowski, chociaż wykładał naogół dobrze i interesująco i był niezłym człowiekiem, jednak idąc z duchem czasu i reprezentując rozpowszechnione nawet wśród liberalnej inteligencji rosyjskiej poglądy, sprawił mi niemało cierpień, gdyż pozwalał sobie na szkalowanie Polaków i katolicyzmu. Chętnie i szeroko rozwodził się o Polakach jako brudasach, wyśmiewał szlacheckie nazwy, przytaczając po polsku zjadliwą gadkę „Mam honor, majątek i trzy funty lasu". Usprawiedliwiał rozbiory Polski, uwydatniając anarchję sejmową z prawem każdego pijanego szlachcica do zgłaszania swego „nie pozwalam". Gdy słyszałam te rzeczy, zastygałam cała i milczałam jak skamieniała, a 40 par oczu koleżanek z drwiącemi lub głupiemi uśmiechami były skierowane na mnie. Dłuższy czas dokuczano mi, wykrzykując pod mym adresem przy każdej sposobności i bez sensu owo „nie pozwalam", usłyszane z ust pedagoga. Tak samo z kamiennym spokojem słuchałam ulubionych inwektyw Borzakowskiego przeciwko papieżom, którzy rzekomo mordowali, rabowali, sprzedawali odpusty nawet za zrabowane przez pobożnych pieniądze; zohydzano katolicyzm jako wylęgarnię jezuitów, najohydniejszych gadów pod słońcem, i jako system posługujący się katowską inkwizycją. Nauki te były o tyle skuteczne, że w leksykonie panien największą obelgą była nazwa „jezuitka". Były takie panny, które z obrzydzeniem mawiały pod moim adresem: „Gdy wyrosnę, żadnego Polaka nie wpuszczę na próg swego domu."

Odpowiadałam na to: „Dlaczego myślisz, że Polak zechce przestąpić próg twego domu?“ Inaczej niż ja zachowywała się na lekcjach historji druga Polka (było nas dwie) — ona się śmiała tak ochoczo i głupawo, że trudno było przypuścić, że rozumiała sytuację. Pochodziła ona z Witebska, była mocno zruszczona i mówiła po polsku bardzo słabo. Muszę zaznaczyć, że Borzakowski miał tyle taktu, że ani podczas lekcyj, ani na egzaminach nigdy nie pytał mię o sprawy bolesne, uważał mię za najlepszą uczennicę i dawał stopień najlepszy — 12. Do sprzeczności duszy ludzkiej należy ten niezawodny fakt, że koleżanki naogół mię lubiły, wychowane jednak w zatrutej nienawiścią do Polski atmosferze pozwalały sobie czasem na owe brutalne przejawy. Nieraz pełne naiwnej życzliwości namawiały mię do przyjęcia prawosławia, dowodząc, jak to będzie dobrze, gdy razem będziemy chodziły do cerkwi; po co mi ten katolicyzm i t. d. Pozwalały sobie na to w klasach średnich. Starsze, jak również żadna z wychowawczyń, nigdy tego tematu nie poruszały.

Nauka religji odbywała się 1 raz tygodniowo w języku francuskim dla klas starszych, a dla niższych w języku rosyjskim wieczorem od godz. 19 do 20 dla uczennic wszystkich klas razem. W razie nieobecności wychowawczyni ksiądz nasz wykładał po polsku. Był to ubrany w białe szaty staruszek dominikanin Piotr Nowicki, którego zjawienie się na korytarzach Instytutu sprawiało sensację wśród Rosjanek. Podręcznik był rosyjski. Było nas katoliczek kilkanaście w całym zakładzie. Gdy w dwu klasach pedagogicznych zastępowałam wychowawczynię, nauka religji zawsze odbywała się po polsku. Na nabożeństwo udawałyśmy się do kaplicy w jednym z Instytutów (w Petersburgu było 6 Instytutów: Smolny, Pawłowski, Patrjotyczny, Mikołajewski dla sierot, im. ks. Oldenburskiego i Maryjski.) Kazania odbywały się również po francusku, spowiedź po polsku. Swoją książkę do nabożeństwa, upominek Matki, chowałam początkowo w najgłębszych skrytkach swej szafki w obawie przed psotami koleżanek.

W poprzednich latach Polki, mające piękny głos, proszone były do udziału w chórze cerkiewnym. Przymusu w tym względzie nie było, i niektóre się zgadzały. Nauczanie śpiewu cerkiewnego było doskonałe i odbywało się pod kierunkiem regenta znakomitej carskiej kapeli Rożnowa. Najlepsze z pośród nas śpiewaczki dokształcały się u Włocha Marcoliniego w salonie przełożonej. Chórzystki nasze w liczbie 60 zapraszane były na koncert owej kapeli (chóru) oraz na uroczyste nabożeństwa, odprawiane z olbrzymim przepychem w Soborze Smolnym przez metropolitę i biskupów w obecności dworu i arystokracji z udziałem najlepszych chórów stołecznych. Było to 22 lipca st. st., w dniu imienin carowej Marji. Na nabożeństwo owo przywożono również po 12 najlepszych uczennic najstarszej klasy ze wszystkich Instytutów. Z Soboru udawano się na śniadanie do olbrzymiej auli Instytutu Smolnego, gdzie wszyst-

kich oczekiwało wspaniałe śniadanie. W repertuarze naszego szkolnego chóru figurowały m. in. modne wówczas i b. ładne piosenki małoruskie „Oj, ne chody, Hryciu“ i t. p.

Miałyśmy aż 4 lekarzy i dentystę. Kobiet lekarzy wówczas prawie nie było. Dwaj lekarze odwiedzali nasz szpital z rana i wieczorem, trzeci dwa razy tygodniowo, a wszyscy 4 składali konsyljum w wypadkach poważniejszych. Plombowania zębów nie znano. Psujący się ząb wyjmowano bez znieczulania. W razie lżejszego bólu zakładano watę, przepojoną kreozotem, co podobno niszczyło ząb. Opieka w szpitalu była b. staranna. Niebezpiecznie chorych przełożona odwiedzała nawet nocą.

Naogół mam bardzo dobre wspomnienie o Instytucie i dużo zawdzięczam tej szkole. Jako Polka i katoliczka doznałam tam minimum przykrości w porównaniu do tego, co musiała przeżyć młodzież w szkołach rosyjskich w rozgromionej ojczyźnie. Posiadłam doskonałą znajomość franc. i niem., poważne wykształcenie muzyczne i maniery właściwe elicie rosyjskiej. Do zawodu pedagogicznego byłam przygotowana gruntownie. Wszystko to ułatwiło mi przejście przez życie z pożytkiem dla innych i z zachowaniem samodzielności. Indywidualność moja, przywiązanie do swego i swoich nie zostały nadwyrężone, raczej przeciwnie — zaostrzone Jak na owe czasy lata moje szkolne nad brzegami Newy — były najlepszem wyjściem z tragicznej sytuacji

Instytutka

Pamiątki po Szymonie Konarskim

w Muzeum Wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Mała gablotka zawiera bolesne pamiątki po Szymonie Konarskim. Widzimy tu miniaturowy portret jego malowany przez Drużynę w Wilnie w r. 1839. Konarski przedstawiony jako blondyn o jasnem oku i złotawym zaroście, okalającym całą twarz, wygoloną pod dolną wargą. Głowa przykryta błękitną czapeczką, podobną do fezu. Pod portretem ofiarodawca umieścił ohydne ogłoszenie policji rosyjskiej, wzywające publiczność do udania się na miejsce stracenia. Bo i cóż innego mają oznaczać te słowa na kartce wielkości pocztówki, widocznie rozlepiane na ulicach: „Policja podaje niniejszem do wiadomości, że Emisarjusz zagraniczny, zbrodniarz Państwowy Szymon Konarski, za buntownicze zamachy na Rząd skazany został wyrokiem Sądu Wojennego na karę śmierci, która będzie wymierzona jutro, 15 lutego o 10½ zrana za rogatką Pohulańską“?

Widocznie ulubioną lekturą Konarskiego były księgi Narodu Polskiego, znalezione przy nim podczas aresztowania go w maju 1838 r. Jest to miniaturowe paryskie wydanie Pinarda z r. 1832. Obok leży cieniutki różowy arku-

sik papieru listowego, zapisany drobnem, bardzo czytelnem pismem Jest to częściowo wierszowany list, pisany w więzieniu u „Bazyljanów“ do współwięźnia Jerzego Brynka. Jest w nim mowa o jakiejś lubej.

„Tyś mi jednak otarła łzy tułactwa, znoju;
I dozwoliła chwilkę spocząć przy swych nogach;
A gwiazda życia mego strzeliła pogodą,
Ja niebem oddychałem, żyjąc w waszych progach.“

Goryczą i bólem szyderczym dyszą te słowa skazańca:

Do łez dzisiejszych narodu mojego,
Co jak mara zgryzoty ze snu mnie zrywają,
Brakło mi jeszcze, Luba, jęku twego.
Dziś hymn rozpaczy twe piersi już grają,
Dziś nic mi nie brak, los obficie darzy,
Wszystkie nadzieje moje wieści ta komnata,
Od wszystkich wspomnień oddziela mnie krata,
A przyszłość moją Bóg z katem kojarzy, —
Błysnę Wam jeszcze ponad rusztowaniem,
By spełnić wyrok mego przeznaczenia,
Ja was pożegnam z pod stryka chrapaniem
I w Niebo wezmę wszystkie me wspomnienia.“

„Społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim było powiadomione w organie urzędowym, wydawanym po rosyjsku i po polsku, że „Emissarjusz propagandy rewolucyjnej, Symon Konarski, rodem z gub. Augustowskiej, stanu szlacheckiego, wieku lat 31 wszedł do służby wojskowej w r. 1825 szeregowym do I pułku Strzelców b. Wojsk. Polskich... W czasie powstania Komisja Buntownicza mianowała go podporucznikiem i porucznikiem; znajdował się w bitwach przeciwko Wojsk Rosyjskich i pod koniec 1831 r. w randze kapitana z buntowniczym oddziałem uciekł zagranicę. Na początku roku 1834, znajdując się w Szwajcarji, był w zgrai burzycieli, którzy napadli na Sabaudją, a w końcu tegoż roku znajdował się w Paryżu i uczestniczył w wydawaniu pisma peryodycznego p. t. „Północ“. Będąc wysłanym z Paryża do Anglji, udał się z tamtąd razem z powstańcem Adolfem Zaleskim do Krakowa, i tam po naradzeniu się ze źle myślącymi, powziął zamiar wcisnąć się do Rosji dla rozszerzenia propagandy rewolucyjnej i przysposobienia do nowych rozruchów, któremi marzył zakłócić pokój gubernij Zachodnich. W tym zbrodniczym celu przybywszy tajemnie w końcu r. 1835 na Wołyń, niezwłocznie wziął się do wykonania swych zamysłów. Jeżdżąc pod różnemi zmyślonemi nazwiskami i wciągając nierozsądnych do spisku, rozszerzał pisma buntownicze, dla drukowania których sposobił się razem ze swym wspólnikiem Rodziewiczem, do założenia drukarni tajemnej. Usiłując zaszczepić zbrodnicze swe myśli w prostocie, używał do tego za narzędzie łatwowiernych; uwodził kłamliwemi zapewnieniami tych, którzy dali się namó-

wić na jego stronę, zachęcał do czynnego pomnożenia spiskowych, kierował nimi w rozszerzaniu ustaw rewolucyjnych; ustanawiał i zbierał składki pieniężne i dla ugruntowania ohydnej zdrady, zobowązywał do wykonania tego wszystkiego przysięgą, nie w jednem zdarzeniu grożąc nawet puginałem. Tym sposobem zdołał zawiązać tajemne Towarzystwa Demokratyczne w Gubernjach Wołyńskiej, Podolskiej, Kijowskiej, w Wilnie i po części w gub. Mińskiej i Grodzińskiej; wciągnął do spisku młodzież w Uniwersytecie Św. Włodzimierza i w Wileńskiej Akademji Medyczno-Chirurgicznej. Nie przestając na tem, wydał odezwę do płci żeńskiej, wzywając do działania w jego duchu i kilka przyłączył do swych wspólnic. Przestępca ten został schwytany około Wilna w maju 1838 r. i wszystkie działania jego wspólników zostały wykryte".

Dziennik ten rządowy umieszczono również w gablotce. I słusznie! Ręka carskiego pisarka wydała świadectwo niezłomnej energji Konarskiego. Pomyśleć tylko — w owych czasach przez dwa i pół lata szerzyć olbrzymią propagandę nad Dnieprem i nad Wilją, być żywym łącznikiem między patrjotami Żytomierza, Kijowa, Wilna, Grodna, Mińska, nie ustawać w pracy wśród zastawionych sideł i czyhających niebezpieczeństw. — To objaw całkiem wyjątkowej siły ducha!

— — — — — — — — — — — — — —

Do niezrozumiałych dla Francuza czy Anglika łotrowskich zarządzeń rosyjskich z r. 1863 należą zakazy mówienia po polsku. Dużemi, soczystemi literami wydrukowane ogłoszenia tej treści umieszczone były we wszystkich instytucjach rządowych. Poczęły znikać w ostatniem dziesięcioleciu XX w., w r. 1905 zostały usunięte zupełnie. W r. 1903 jeszcze je można było oglądać w miastach powiatowych na pocztach. W muzeum jest 5 takich ogłoszeń wielkości pół arkusza papieru kancelaryjnego. Napisy takie: *1) Mówić po polsku nie wolno, 2) Mówienie po polsku surowo zakazane, 3) Mówić wyłącznie po rosyjsku; 4) Używanie języków polskiego, litewskiego i żmudskiego w klubie bezwzględnie jest zakazane.* Jest to § ustawy klubu obywatelskiego w Telszach, zatwierdzonej w r. 1895 przez Ministerstwo Spr. Wewn.

Wycieczka bułgarskiej młodzieży akademickiej podczas odwiedzin Muzeum w r. 1930 była zdumiona treścią tych plakatów. „I to ma być polityka Słowian względem Słowian" — padały gorzkie pytania Bułgarów, wychowanych w duchu uwielbiania Rosji.

P. Żukowski.

Wojna chłopska w Niemczech 1525 r.

I.
NIEDOLA CHŁOPSKA.

W chacie szwabskiego chłopa Konrada było smutno. Chora żona, leżąca na słomianym barłogu, patrzyła na męża obłędnym wzrokiem. Przy niej wrzeszczało niemowlę, w łachmany spowite. Dwoje starszych dzieciaków ba-

brało się na podłodze i gryzło skórkę chleba. Przy ognisku przykucnął stary zbolały ojciec i dmuchał na gasnące węgle, kaszlając i jęcząc. W domostwie rozsiadła się nędza. Dziura w ścianie wciąż jeszcze była zatkana jako tako mchem; przez wybite szyby ulewa trafiała do wnętrza. Konrad westchnął, podszedł do żony, uścisnął jej bladą rękę i rzekł: „Nie traćmy nadziei, kochana! Nadejdą lepsze czasy. Zboże dobrze nam rośnie.“ Chora uśmiechnęła się smutnie. Nie wierzyła w lepsze czasy; odkąd wyszła zamąż za pańszczyźnianego chłopa, znała tylko głód i niedolę, a była córką zamożnego kowala, który wyrabiał sierpy. Konrad miał dziś zwozić kamienie do zamku i polecił ojcu zaopiekować się krową i kurami. Stary kiwnął głową i jął drżącą lewą ręką mieszać w garnku rzadką zupę, gdyż owsiana i jęczmienna kasza były dawno zjedzone. Posługiwał się drewnianą łyżką. Zamiast prawej ręki jakiś sztywny czerwony kijek wyglądał z podartego rękawa. Na rozkaz rządcy pana na Rechbergu obcięto mu przed wielu już laty prawą dłoń za to, że łowił pstrągi w rzeczułce pańskiej. By uniknąć śmierci głodowej, okaleczony chłop, który był czynszownikiem, zrzekł się wolności i zapisał siebie i syna do pańszczyźnianych chłopów srogiego pana i złożył mu przysięgę poddańczą. Zaczęły się robocizny uciążliwe. Tylko jeden dzień w tygodniu mógł syn pracować na własnem polu, natomiast pięć dni, a często nawet w niedzielę od świtu do nocy odrabiał pańszczyznę. Gdy starzec przypomniał te dzieje, Konrad zagłębił się w las, nie zważając na piękny poranek wiosenny i na śpiew ptaków. Myślał o chorej od kilku tygodni żonie, której wskutek biedy nie mógł dopomóc. Kilka dni temu ściął drzewo w lesie, by ogrzać chatę; został przyłapany przez drabów zamkowych, którzy na rozkaz rządcy zabrali mu za karę cielaka, ulubieńca dzieci, żegnających go rzewnym płaczem. Gniew opanował Konrada, gdy myślał o tem. Ścinając drzewo, spłoszył zajączka, który usiadł o kilka kroków; i on się nie bał chłopa! „Ty łajdaku, zawołał ze złością Konrad, masz lepsze życie niż my, bo nie znasz głodu“. I wnet zdjął go lęk, czy zające nie żerują na jego polu, wszak niedawno spłoszył tam kilka. Zapragnął się przekonać i co sił starczy pomknął ku pagórkowi, obsianemu jego zbożem. Gdy ujrzał, co się tam działo, zbladł z przerażenia, źrenice mu się rozszerzyły, twarz wykrzywiła się boleśnie. Całe stadko dużych jeleni, 6 sztuk, smakowicie zjadało zieloną ruń; zwierzęta przechadzały się po niwie, nielitościwie ją tratując. Z krzykiem wściekłości runął na nie Konrad i zaczął walić kamieniami. Jednym ostrym głazem trafił w głowę dużego rogacza, który runął bez życia. Gdy Konrad ochłonął, mógł skonstatować straty. Wszystko, co w trudzie i męce zdziałał, zostało zniszczone; zboże zostało pożarte lub wydeptane. Z jękiem chwycił się za głowę oburącz i pobiegł jak oszalały. Raptem zagrzmiały koło niego groźne głosy, przekleństwa. Olbrzymi pies-wilk chwycił go za łydkę, straszny stróż leśny stanął przed nim i kazał swym pachołkom chwycić go i związać. „Ty psie, bydlę chamskie! Zachciało ci się polować na jelenie twe-

go pana,“ — zagrzmiał nadleśny i grzmotnął związanego kijem po twarzy. „Odstawić go do Rechenbergu, tam zostanie ukarany za swą zbrodnię“. Śmiertelnie blady Konrad wiedział dobrze, co go czeka. Wrzucą go do baszty, na nogi wbiją ciężkie drewna. Niech rodzina z głodu zdycha. Na myśl o tem, zadrżał i szarpnął więzy tak, że rzemienie wżarły się w ciało. Psisko szczęknęło zębami i groźnie przysunęło się do więźnia. Po nocy, spędzonej w ciemnym lochu, wyprowadzono Konrada przed rządcę, który w otoczeniu osiedleńców siedział na podwórzu zamkowem pod lipą. Z niedobrym uśmiechem rządca spojrzał na drżącego oniemiałego chłopa i w krótkich słowach opowiedział o jego zbrodni, następnie skinął na sekretarza, by odczytał prawo rzymskie. Człeczek w czarnym płaszczu schylił się nisko przed rządcą i też spojrzał jadowicie na oskarżonego, poczem rozwinął swój pergaminn i głośno wyrecytował ustęp z prawa łacińskiego: „*Pan ma prawo sądzić swych poddanych chłopów według swego uznania i karać, jak mu się podoba, na mieniu, ciele i życiu*“. Chłop cały zadrżał. Przerażeni zebrani zamienili spojrzenia pełne trwogi. Zagrzmiał okrutny głos rządcy: „Parszywy psie, okażę ci łaskę, pozwalam ci wybrać karę. Co wolisz: siedzieć w baszcie czy stracić jedno oko. Przed Konradem stanął obraz nędzy jego rodziny, chora żona, małe dzieci, słaby ojciec. Po chwili wahania zgodził się na utratę oka. Rządca dał znak drabom. Dwaj chwycili go i powlekli, trzeci poszedł do kowala, by rozżarzyć pręt żelazny. Po chwili straszliwy krzyk przeszył powietrze. Zlanego krwią chłopa pachołkowie wlekli przez podwórze i wypchnęli za bramę. Działo się to w Szwabji w r. 1524.

II.

SPISEK.

26 lutego 1525 r. w mroźny dzień kupa chłopów klasztornych brnęła po zaśnieżonej drodze ku szynkowi „Pod wroną“, położonemu na terenie wolnego miasta Gmuend. Szli w milczeniu, gdyż wiał ostry wiatr, w rękach trzymali sękate kije. W szynku było już sporo chłopów, siedzących pod ścianą na ławach. Gospodarz, mały, ruchliwy o błyszczących oczach powitał przybyszów słowami: „Dali Bóg, macie rację, przychodząc do mnie, wszak u was wszelkie zebrania są zakazane“. Mówił prawdę, gdyż opat zakazał swym czynszownikom i pańszczyźnianym wszelkich rozrywek i zgromadzeń; nie wolno im było udawać się nawet na chrzciny, wesela, na targi, nie wolno im było brać udziału w zawodach strzeleckich . „Opat ma nieczyste sumienie i obawia się naszych schadzek“ — rozległy się głosy. Przybył też Konrad z wypalonem okiem. Zapadał mrok, pachołek zapalił długie świece woskowe, tkwiące w kółkach, przymocowanych do ściany. Z pośród 50 zgromadzonych chłopów niemało było bladych i wycieńczonych, patrzących wzrokiem smutnym i nieruchomym Inni mieli zaciśnięte pięści; ponura stanowczość malowała się na ich obliczach.

Gospodarz, który zwołał to zgromadzenie, stanął na wysokiej beczce i zawołał dźwięcznym głosem: „Kochani bracia! Dzień wybawienia nadszedł wreszcie. Sprawiedliwość Boża triumfuje na ziemi. Chłopi we Frankonji, Szwabji i innych krajach powstali przeciw nieprawości panów swoich. Niech każdy, kto zaznał krzywdy, opowie nam o niej. Głową ręczę, że zdrajców pośród nas niema“. Szmer zadowolenia rozległ się po komnacie. Gospodarz kazał napełnić kubki i częstował gości, z których żaden nie chciał zacząć mówić. Wreszcie wstał młynarz, starszy, duży chłop, wlazł na beczkę i zaczął: „Wiecie chyba, że nasi ojcowie byli właścicielami młyna. Posłuchajcie, w jaki sposób opat wyzuł mię z własności i uczynił ze mnie czynszownika. Gdy się urodził mój pierwszy syn, a było to w dzień Wszystkich Świętych, tak się ucieszyłem, że ofiarowałem klasztorowi 10 funtów wosku, dwanaście najlepszych kur i sześć tuczonych gęsi. Od tego czasu opat corocznie żąda ode mnie podobnej daniny. Gdy próbowałem protestować, opat zagroził mi pozbawieniem sakramentów i rzuceniem klątwy. „Spalę twój młyn, jeśli nie chcesz oddać Bogu tego, co jest boskie“. Musiałem ulec; teraz muszę mu jeszcze zboża dostarczać“. Obecni zawrzeli oburzeniem. „Napluj chciwcowi w pysk“, dziko wrzasnął jeden chłop i walnął kijem o podłogę. Inni radzili zaskarżyć przed sądem. Młynarz smutno pokiwał głową, gdyż wiedział, że sądy bronią tego, kto dobrze zapłaci. Chłopi stawali się coraz śmielsi i jęli chętnie opowiadać o swych krzywdach, zwłaszcza słowa oburzenia padały pod adresem rozleniwionych mnichów, którzy nie chcieli już pracować ani w winnicach ani na roli, zmuszając do tego chłopów. „Pędzić ich i obierać sobie zacnych kapłanów“ — rozległy się propozycje. „Niech gniew Boży zniszczy wszystkich niegodziwców“, wołali inni. Opowieści Konrada wysłuchali z zapartym oddechem. Dowiedzieli się, że żona mu zmarła, i gdy jeszcze trup pozostawał w domu, rządca nasłał pachołków, by zabrali jako „pośmiertne“ weselnę suknię i naczynia miedziane, które stanowiły posag zmarłej. Słysząc o tem chłopi wpadli w szał, skoczyli z ław, ogień nienawiści buchał im z twarzy, okrutnie wygrażali pięściami i wrzeszczeli: „Chcemy wolności! Precz ze zdzierstwem! Musimy mieć prawo łowienia ryby i polowania! Przywrócimy sobie dawne prawa!“ Ryczeli ze wściekłości i walili kijami po ławach. Wtem zjawił się na beczce młody chłop i wrzasnął: „Patrzcie, bracia, co mi w spadku zostawił umierający Ojciec.“ Wydobył z zanadrza jedwabną chustę i rozwinął ją. Na błękitnem tle widniał czarny chłopski but. Obok niego klęczał chłop, wznosząc ku niebu obcięte katowskim toporem ręce. Znany był powszechnie pod nazwą „Biednego Konrada.“ „To nasz sztandar“ wołano. Wymachując nim, chorąży wołał: „Pójdziemy za tym znakiem jak przed laty 12, gdy ruszyliśmy na hrabiego Ulryka. Niektórzy zdjęli buty, wdziali na kij i wznieśli w górę, krzycząc: „Niech żyje nasz but! Niech żyje Konrad — biedaczysko!“ W rękach wielu zamigotały noże. Rozległy się wołania: „Kowalu! Szykuj nam kosy, dzidy i noże.“ Zrób więcej

ciężkich cepów i toporów. Będziemy widłami czesać pańską sierść. Mordować tych, co chłepczą naszą krew i szlachtują chłopa.“ Zaniepokojony gospodarz wzywał do uciszenia się i oświadczył, że powinni siedzieć cicho w swych wioskach i niczem się nie zdradzać. Niech czekają do 1 kwietnia, kiedy ma wybuchnąć powszechne powstanie. Potem z tajemniczą miną wydobył z szuflady pergamin, na którym był wymalowany chłop. „Patrzcie, rzekł zdławionym głosem, mądrzy ludzie, życzący wam szczęścia, wypisali tu wszystko, czego macie wymagać od waszych panów. Pokażcie to im i zmuście do zaprzysiężenia tych praw. Jeśli się nie zgodzą, zmuście gwałtem“. Gdy gospodarz jął wymieniać kolejno żądania, dotyczące prawa wyboru i usuwania księży, zniesienia daniny w postaci bydła, uznania wolności osobistej, zrzeczenia się panów prawa do wyłącznego polowania, rybołóstwa i używania lasów — komnata drżała od krzyków zachwytu, które jeszcze się wzmogły przy słuchaniu żądania, „by zaniechano bezbożnego rabowania wdów i sierot, znanego pod nazwą „pośmiertnego“. Rzecz ciekawa, że chłopi nie zamierzali odbierać ziemianom gruntów, nawet nie uchylali się od robocizny i uznawali prawo panów do nakładania kar, jednak wymagali przestrzegania dawnych praw i powoływali się na Pismo Święte. Po wysłuchaniu tych „12 artykułów“ wszyscy dotknęli ręką pergaminu i przysięgli bronić swych praw, nie szczędząc zdrowia i życia. Już była północ, gdy chłopstwo ruszyło do domów, gotowe do walki o zwycięstwo sprawiedliwości Bożej na ziemi. (Dcn.) *St. Wesołek.*

Życie średniowieczne.

JAK KORZYSTANO Z PRAWA AZYLU W GALJI MEROWINGÓW.

W Galji rzymskiej miejscem najświętszem była bazylika św. Marcina z Tours. Znakomity kronikarz VI. w. Grzegorz z Tours opowiada interesujące, nawpół legendarne, historje, które się działy w tej świątyni.

I.

„Hrabia Austrapius, obawiając się wroga swego Chramma, ukrył się w bazylice. Chramm wydał surowy zakaz zaopatrywania hrabiego w żywność i kazał go tak ściśle pilnować, by nawet łyku wody nie mógł otrzymać i dręczony głodem i pragnieniem zmuszony był do opuszczenia murów świętych. Gdy nieszczęsny hrabia był ledwo żywy, do świątyni wszedł jakiś człowiek z kubeczkiem wody i dał mu się napić, lecz w tej chwili jeden z urzędników Chramma rzucił się ku hrabiemu, wydarł mu z rąk kubek i wylał wodę na posadzkę. Jednak zemsta Boża działała również szybko, gdyż w nocy urzędnik ów skonał w okropnej gorączce. W taki sposób ujawniła się potęga św. biskupa Marcina. Gdy ludność dowiedziała się o tem, tłumnie podążyła z żywnością do hrabiego.“

II.

„Prawo nietykalności świątyń rozumiano w ten sposób, że ukrywającym się w nich wolno było sprowadzać sobie żywność, by wrogowie ich nie mogli głodem zmusić ich do poddania się. Gdy w bazylice ukrywał się człowiek biedny, nie mający sług, kapłani sami zaopatrywali go w środki żywnościowe. Nie mało kłopotów sprawiali możni zbiegowie. Ich służba tłumnie włóczyła się po podwórzu i przedsionku świątyni i zachowywała się hałaśliwie. Nie brkło też gapiów, przychodzących z okolic. Magnaci, korzystający z azylu, często wyprawiali tak hałaśliwe uczty i orgje nawet podczas nabożeństwa, że zagłuszali śpiewy kościelne i w wysokim stopniu irytowali kapłanów w stallach i wszystkich modlących się. Zdarzało sę, że podczas takiej uczty wybuchały kłótnie, dochodziło do krwawych bójek, które odbywały się przy drzwiach świątyni a nawet w jej wnętrzu.

Oskarżony o zamordowanie króla Chilperika dworzanin jego Eberulf ukrywał się w bazylice. Król Gontran przysiągł wobec wszystkich panów, że nietylko zgładzi zbrodniarza, lecz wytraci jego potomków aż do dziesiątego pokolenia, by wykorzenić niecny zwyczaj zabijania królów. Eberulf nie wykazał najmniejszej czci dla świętego, pod którego opiekę się udał; popełniał morderstwa w przedsionku kościelnym w pobliżu grobowca świętego Marcina; czas spędzał na bezecnych ucztach i zgubnych zabawach. Pewnego dnia, dobrze podpity, zażądał od księdza jeszcze wina. Gdy kapłan ociągał się, zadał mu cios pięścią, a potem chwycił kawał ławki i uderzył z taką siłą, że pasterz omal nie stracił życia. Obawiając się króla, Eberulf stale zaczął przebywać w zakrystji. Gdy zamknięto wszystkie inne drzwi, córki i sługi Eberulfa weszli przez zakrystję i zaczęli ku zgorszeniu modlących się oglądać malowidła i ozdoby grobowca świętego. Po kolacji, należycie podpity Eberulf, pałając gniewem jak warjat, wtargnął do świątyni podczas pienia psalmów i wybuchnął stekiem złorzeczeń, oskarżając biskupa o zamiar pozbawienia go opieki świętego. Tymczasem król posłał swego zaufanego imieniem Klaudjusza i obiecał mu skarby za wywabienie wroga ze świątyni, zakazując jednak naruszenia świętości miejsca. Po drodze Klaudjusz, zwyczajem barbarzyńców, zaczął badać prognostyki, które nie wróżyły mu powodzenia. Spotykanych po drodze zapytywał, czy św. Marcin otacza opieką nawet krzywoprzysiężców i krzywdzicieli pobożnych. Otoczywszy kościół żołnierzami, wysłaniec króla wkroczył do wnętrza i, znalazłszy Eberulfa, zaczął przysięgać na wszystkie świętości, że jest mu najszczerzej oddanym i ma zamiar pogodzić go z królem. Więzień uwierzył. Nazajutrz obaj ucztowali w bazylice. Klaudjusz czekał, aż służba zostawi ich samych, by załatwić się z wrogiem. Przy końcu uczty powiedział gospodarzowi: „Chętniebym jeszcze pozostał z tobą, gdybyś kazał przynieść lepszego wina z olejkiem pachnącym". Eberulf rozkazał służącym udać się na poszukiwanie takiego wina. Gdy zostali sami, Klaudjusz wyciągnął rękę

w kierunku relikwij i rzekł zcicha: „Święty Marcinie, spraw, bym ujrzał mą żonę i rodziców.“ Był w sytuacji strasznej — zamierzał zabić Eberulfa i obawiał się gniewu świętego, którego świątynię miał skalać zbrodnią. Jeden z pachołków Klaudjusza chwycił Eberulfa z tyłu za plecy, obalił na ziemie i rozdarł mu szaty na piersiach, obnażając je dla ciosów. Lecz napadnięty zdołał sięgnąć po sztylet i, gdy Klaudjusz pchnął go żelazem w piersi, sam dostał od Eberulfa cios okropny. Na krzyki przybiegli ludzie Klaudjusza i mieczami rozsiekali głowę Eberulfa, który pomimo ciężkiej rany próbował ucieczki. Słusznie mówiono potem, że on nie był godzien opieki świętego, którego nigdy należycie nie uczcił. Klaudjusz po zamordowaniu przeciwnika, przerażony swą zbrodnią, udał się do opata, błagając go o wstawiennictwo u świętego, wobec którego on tak ciężko zawinił. W tej chwili jednak nadbiegli uzbrojeni ludzie Eberulfa i zaczęli dobijać się do drzwi; nie mogąc ich wyważyć, powybijali szyby w oknie i miotali strzały do wnętrza celi. Jedną z nich został ugodzony Klaudjusz, ciężko ranny przez Eberulfa. Opat z trudnością zdołał umknąć wśród zamieszania. Towarzysze Klaudjusza powłazili pod łóżka i ukryli się za drzwiami. Koło świątyni powstało zbiegowisko ubogich, żywiących się przy kościele jałmużną i innych parafjan, którzy poruszeni zbrodnią przybyli, by się zemścić na gwałcicielach domu Bożego . Zaczęto ich szukać w kościele, wywlekać z ukrycia i uśmiercać bez litości. Podłoga była zalana krwią. Zwłoki wywleczono, obnażono i rzucono na gołej ziemi. W ten sposób rychło zaciążyła na zbrodniarzach kara boża za rozlew krwi ludzkiej w świątyni.“

Taki był poziom kultury w Galji (Francji) VI i VII w.

II.

ROBIN HOOD.

W krajach podbitych zwykle tworzą się w niedostępnych górach, lasach lub stepach stowarzyszenia nieprzejednanych mścicieli, szlachetnych bandytów, którzy uważani są przez ludność za obrońców, często ukrywani i wspomagani. Są to kozacy nasi i rosyjscy (dońscy XVII w.), klefci w Grecji, junacy w Bułgarji, uskoki w Serbji. W Anglji XII w. po podboju normańskim utworzyły się w północnych lasach i górach liczne oddziały wojowników — mścicieli pochodzących z mieszanej ludności półsaskiej, półduńskiej. Królowie nie ważyli się bez licznego wojska przekroczyć rzeki Humber. Wydawali przeciwko tym „zbójom“ srogie zarządzenia w jęz. francuskim, nakazując ludności tropić ich jak wilków, krzykiem wskazując władzom każdego wyjętego z pod prawa, zwanego „wilkiem“. Powstawały pieśni ludowe, sławiące odważnych wrogów „porządku“, którzy „uważali sakiewki książąt za swą własność, a stada królewskie przywłaszczali sobie.“ Poeci ludowi w pieśniach anglo-saskich opiewają bitwy, zwycięstwa i podstępy w tej walce. Czytamy tam, jak wzięto do niewoli biskupa, kazano mu tańczyć w szatach pontyfikalnych i puszczono za okup olbrzymi, jak chwytano konie hrabiego i porywano jego sługi. Jeszcze

za panowania Ryszarda Lwie Serce olbrzymia puszcza Sherwoodzka w hrabstwie York służyła za schronisko dla zbuntowanych Sasów. Gdzieindziej prześladowani i tępieni jak dzikie zwierzęta, tu czuli się bezpieczni, byli doskonale zorganizowani i liczni. Zamiast pracować na zwycięzców trudnili się „przemysłem swobodnym i wesołym“ według ich pieśni.

Znakomitym wodzem tych zbiegów, królem puszczy był Robin Hood. Według pieśni ludowych pochodził on z rodu hrabiów. Urodzić się miał w zielonym lesie wśród kwitnących lilij. Na czele setki wybornych łuczników był postrachem normańskich rycerzy, biskupów i bogatych opatów, lecz bożyszczem chłopów, parobków, wdów. Zasłynął jako obrońca uciśnionych i słabych, którym podawał zdobycz, odebraną ich krzywdzicielom. Podobno przy jego boku walczył były młynarz i mnich, uzbrojony ciężkim kijem. Zabijali tylko urzędników królewskich czyli szeryfów. Mieli doskonały humor i wykazywali dobroduszność. Nie przelewali krwi możnych, chyba we własnej obronie. Zabierali im nie życie, lecz mienie. „Szykujcie swe łuki, opatrzcie cięciwy. Przekleństwo temu, kto daruje życie naczelnikowi prowincji lub jego sługom“. Wyobraźnia ludowa przyozdobiła Robina Hooda wszystkiemi cnotami według pojęć średniowiecznych. W domach Anglosasów ojcowie karmili dzieci opowieściami o tym bohaterze XII w. Jego bitwy, ucieczki z więzienia, przebiegłość były tematem całego cyklu pieśni. Twierdzono, że jest równie pobożnym jak odważnym. Jeśli podczas nabożeństwa towarzysze go zawiadamiali, że kościół ma być osaczony przez wrogów, nigdy nie opuszczał świątyni przed końcem nabożeństwa. Z powodu takich skrupułów został razu pewnego po wyjściu z kościoła schwytany przez szeryfa i prowadzony do więzienia, lecz po drodze zwolniony przez kolegów, którzy wzięli szeryfa do niewoli. Dzień imienin tego rozbójnika obchodzono w licznych wioskach jak dzień świętego. Wszelka praca ustawała; wolno było tylko się bawić i weselić. Zwyczaj ten istniał jeszcze w XVI w. Ówczesny biskup anglikański Latimer opowiada, że podczas wizytacji przybył do małego miasta w okolicach Londynu i oświadczył, że nazajutrz z powodu święta będzie miał kazanie. Gdy przybył do kościoła, ujrzał drzwi zamknięte. Oświadczono mu, że ludność nie będzie go słuchała, gdyż udała się do lasu po zielone gałęzie, które mają służyć za dekorację w dniu Robina Hooda. Biskup odjechał. Wieczorem rozpoczęło się przedstawienie w szopie suto ozdobionej gałęźmi. Łucznicy, ubrani zielono, odegrali sceny z życia całej nieśmiertelnej bandy. O śmierci Hooda lud opowiadał, że zapadłszy na zdrowiu udał się o pomoc do żeńskiego klasztoru. Puszczono mu krew. Gdy jedna z mniszek poznała strasznego wroga Anglików, nie przerwała tej operacji, aż Hood wyzionął ducha. Towarzysze jego wywędrowali do Irlandji i tu walczyli po stronie ludności przeciwko Anglikom.

PRZEŚLADOWANIE DUCHOWIEŃSTWA SASKIEGO.

W podbitej Anglji Normannowie usunęli prawie wszystkich prałatów i opatów i zastąpili ich przybyszami z Francji. Biada tym mnichom i księżom, którzy stawiali opór; dzidami i mieczami zmuszano ich do posłuszeństwa. Prymas angielski Stigand został wypędzony z Kantaurji; zastąpił go Lanfranc, który mocną ręką rządził biskupami. W klasztorze Glastonbury usunięto opata Sasa; miejsce jego zajął Francuz Toustain, który zastosował wypróbowaną przez jego towarzyszy metodę niedokarmiania braciszków celem uczynienia ich bardziej potulnymi. Jednak głodowanie doprowadziło do wściekłości mnichów, którzy nienawidzili najeźdzców. Wybuch nastąpił, gdy opat zaczął zmuszać do śpiewania mszy według nut francuskich.

Mnisi stanowczo odmówili posłuszeństwa i śpiewali z nut papieża Grzegorza W. Rozzłoszczony opat opuścił kościół i za chwilę wrócił na czele uzbrojonego oddziału. Braciszkowie w popłochu umknęli na chór i zamknęli drzwi, które żołnierze jęli wyważać. Niektórzy wdrapali się po kolumnach pod sufit i stamtąd zaczęli strzelać do mnichów. Część mnichów ukryła się za wielkim ołtarzem; przykucnięci na podłodze lub ukrywając się za relikwiarzami i krzyżami, uniknęli śmierci, lecz strzały trafiały w święte przedmioty i zdruzgotały wielki krucyfiks. Wkrótce drzwi, prowadzące na chór, zostały wyłamane. Sasi bronili się świecznikami i ławkami, lecz ulegli w nierównej walce, chociaż zranili kilku żołnierzy. 18 zakonników padło trupem, strumień ich krwi dosięgnął stóp ołtarza.

Podobnych wydarzeń było więcej. *P. Żukowski.*

Materjały dla przyszłego historyka kultury naszej epoki.

HUCULI I ŻYDZI.

Dr. J. Hupka w N. 154 „Czasu“ pisze: Hucuł Żydowi ślepo wierzy. Tylko przez Żyda można tutejszego chłopa do czegoś namówić. I dawno już znanemi były takie transakcje, że bezdzietny Hucuł, owdowiawszy i zostawszy sam w chałupie, zawierał z najbliższym sobie Żydem układ, mocą którego sprzedawał mu cały swój majątek wzamian za utrzymanie dożywotnie, wódkę i ściśle określony okazały pogrzeb po śmierci. Tą drogą Żydzi stali się właścicielami najbliższych łąk i połonin. Wszystkie grunta i łąki w dolinie Czeremosza są teraz własnością Żydów, a Huculi wygnani zostali dalej na stoki gór. Żywienie bowiem Hucuła nie jest kosztowne. Kilka worków sprowadzonej z Kosowa mąki kukurudzanej na kuleszę, zlewane do beczek mleko od kilku krów, trochę baraniny i dużo, dużo wódki, ale taniej, bo preparowanej z denaturatu. Zatruwany nią Hucuł umiera niedługo i Żyd ma potem iść do parocha i omówić

z nim i wytargować szczegóły i koszta wspaniałego pogrzebu, za który płaci jednego lub czasem i parę wołów. Ludność huculska powoli wymiera i gospodarczo podupada.

HISZPANJA.

Gdyśmy się dowiedzieli, że pastwą furji tłumów hiszpańskich w kwietniu i maju 1931 r. padło 200 spalonych klasztorów i kościołów, zaczęliśmy zastanawiać się nad wychowaniem, jakie otrzymują miljony Hiszpanów, rozkoszujących się walką byków. W zeszłym roku pewna dama hiszpańska zapewniała polskiego podróżnika, że „Człowiek, który nie potrafi patrzeć na walkę byków bez obrzydzenia, nie zrozumie nigdy duszy hiszpańskiej.“ Rozkoszują się krwawem widowiskiem nietylko kobiety, lecz i dzieci. Zaledwie parę lat temu ukazał się dekret królewski (czy przestrzegany!?), zabraniający wstępu dzieciom do lat 14. Lepsze byki bojowe kosztują 6000—8000 zł. O zaletach tych zwierząt i o przebiegu walk Hiszpanie mogą rozprawiać gorąco 10 godzin zrzędu. W ciągu 3 miesięcy w r. 1931 pod ciosami rogów i kopyt byków skonało 5 torreadorów wobec 30000 widzów. 4 listopada na arenie madryckiej ciężko ranny byk uszkodził ogrodzenie, dzielące go od publiczności, zabił 4 widzów, a 8 ciężko ranił. Popularny matador otrzymuje za występ 10.000 do 15.0000 zł, nawet 35.000 zł. „Wielki Lalanda“ zarobił w sezonie r. 1929...... 350.000 zł..

W San Sebastjan wobec 15.000 widzów urządzono walkę byka z tygrysem bengalskim. Na pole walki wbiegł olbrzymi byk i, mierząc rogami w egzotycznego przeciwnika, rzucił się na niego. Tygrys uniknął ataku, polując na kark przeciwnika. Straszliwy ryk zwierząt przejmował tłum zgrozą, kobiety mdlały. Wreszcie syn Bengalu upatrzył stosowną chwilę, wykonał olbrzymi skok i wpił się zębami w kark byka. Oszalały z bólu toro stanął błyskawicznie dęba i rzucił się w tył, przygniatając swym ciężarem szarpiącego mu kark wroga; po chwili wstał i kilkoma uderzeniami rogów dobił przeciwnika. Zapewne część duszy tygrysiej udzieliła się duszom widzów. Wychowanie tłumów hiszpańskich przypomina czasy Koloseum i Nerona.

RUCH MURZYŃSKI.

+ Poważnem zagadnieniem dla Stanów Zjedn. staje się sprawa murzyńska. Murzyni słusznie uważani są za żywioł skory do zbrodni. W r. 1929 stanowiły w Stanie N. Jork 2,4 proc. ludności kobiety czarne, a jednak popełniły prawie 20 proc. zbrodni. W Detroit, gdzie czarni stanowią nieznaczny odsetek, aresztowano w r. 1928 za gry hazardowe białych 2941, czarnych 3198; za morderstwo białych 117, czarnych 70; za kradzież białych 3068, czarnych 1200. Murzyni mają swe pisma, w których wywyższają siebie, a pogardliwie mówią o białych. Pewien poeta woła: „Czarnym był świat, gdy powstał, Czarnym był Stwórca, gdy tworzył wszystko.“ Inny publicysta woła: „Biali nietylko zajęli ziemię naszą, lecz pozbawili nas historji. Wszak faraonowie egipscy według białych nie byli murzynami, jednak każdy wie, że Negrzy panowali nad światem, gdy biali mieszkali jeszcze w jaskiniach!“